

Legenda Tirinalsi

Świat Pod, Tar'durosh, rok 1283

Stłumione światło lampy spowijało szarą elfkę przepasaną wygniecioną kołdrą. Ivva cicho pomrukiwała wciąż starając się utrzymać uciekającą od niej krainę snów. Jej twarz była skryta wśród potarganych, szarych włosów, natomiast ręce ścisnęły fałdy na białym prześcieradle. Elfka zadrżała i skuliła się lekko, a koszulka w której spała podwinęła się aż do jej piersi. Evan spojrzał na jej gładką skórę zatrzymując wzrok na drobnym znamieniu, które jego żona miała od dziecka.

- Wstajemy. Zrobiłem śniadanie – powiedział szary elf, podchodząc z tacą.

- Nie jestem głodna – wymruczała zaspanym głosem Ivva i przekręciła się na drugi bok. – Jeszcze troszeczkę...

- Nie ma takiej możliwości, nieżle się przy tym narobiłem – usiadł na brzegu łóżka i odłożył tacę na szafce obok. – No już – zaczął potrząsać jej wystającą stopą. Ivva podniosła głowę i spojrzała na niego z drobnym wyrzutem.

- No dobrze, kochanie – potężnie ziewnęła, przeciągając ostatnią sylabę. Przewróciła się na plecy i sięgnęła po śniadanie. Były tam marynowane grzybki snukiny, sałatka z porostów, kawałek wędzonej ryby oraz kubek wody. Ivva zaczęła wszystko rozdziabywać widelcem, ale dostrzegłszy pełne wyrzutu spojrzenie męża, zmusiła się do przełknięcia pierwszej porcji posiłku.

- Naprawdę pyszne – skłamała, po czym wyciągnęła się żeby pocałować męża w policzek. – Dziękuję, kochanie.

- Potem zaplanowałem dla nas mały rejs łódką po stawie – odezwał się z uśmiechem, podając żonie kubek wody do przepicia. – Tak za jakąś godzinę, abyś mogła się przygotować. Musisz zrobić coś z tymi włosami, bo aż tak to już dawno nie było – zaśmiał się lekko i pogłaskał jej stopę.

- To się nie patrz – bąknęła elfka, chowając nogę pod kołdrę. – I godzina to za mało, za półtorej może się wyrobię.

- Powiedziałem godzina – uciął Evan i wstał z łóżka. – Najpierw półtorej, potem dwie, a jeszcze potem aż do wieczora. Muszę trzymać to twoje opieszalstwo pod kontrolą, bo będziesz nie do życia!

- Nie jesteś kobietą, to nie rozumiesz – próbowała odnaleźć spojrzenie jego granatowych oczu, ale po chwili dała za wygraną. – No dooooooobrze – westchnęła. - Będę gotowa za godzinę. Ale to już idź, bo muszę się śpieszyć. – Odłożyła tacę z połową śniadania na szafkę i przeciągnęła się cicho pomrukując.

Evan wyszedł z sypialni i poszedł do łazienki, aby ogarnąć się nim Ivva się tu ufortyfikuje. Nawilżył kościany grzebień i naprędce przeczesał nim swoje granatowe włosy. Ledwie zdążył przemyć twarz, a już jego wpółubrana żona wparowała do środka i zaczęła go wyganiać. Westchnął zrezygnowany, gdy drzwi zamknęły się za jego plecami. Mając sporo czasu postanowił zabrać się za porządkowanie, zaczynając od sypialni. Pościelił zmięte łóżko, pozbierał i poskładał porozrzucane ubrania – głównie bieliznę i skarpetki Ivvy. Następnie startł kurze i zjadł resztkę śniadania, które zostawiła. Smakowało średnio, o czym dobrze wiedział, ale przecież liczyły się chęci i chyba oboje się z tym

zgadzali. Poszedł przemyć naczynia i gdy już wszystko skończył, opadł na fotel w salonie. Przymknął na chwilę oczy i niemal przysnął, gdyż dzisiejszej nocy naprawdę niewiele pospał.

- Mnie gonisz, a sam się wylegujesz! – oburzyła się Ivva, siadając na oparciu i splatając ręce na piersiach. Evan rzucił jej oszczędne spojrzenie i postanowił nie komentować jej wypowiedzi. – Taka to sprawiedliwość!

Prychnęła i zarzucając włosami ruszyła do sypialni. Wróciła jakieś piętnaście minut później, więc całość zajęła jej niecałą godzinę. Założyła turkusowe spodnie i bładoniebieską koszulę zapinaną na srebrne guziczki, a na uszach miała swoje ulubione, białe kolczyki. Zamruczała cicho, usiadła okrakiem na swoim mężu i spokojnymi ruchami dłoni zaczęła masować jego klatkę piersiową.

- Widziałam, że posprzątałeś – uroczy rumieniec przyozdobił jej szarą skórę. Zza kosmyka szarych włosów wyglądały piękne, szare oczęta. Sięgnęła ustami jego dolną wargę i przygryzła ją delikatnie. – Jesteś najlepszy – szepnęła, przenosząc pocałunki na jego ucho, a rękoma odnalazła jego dłonie. – Chodźmy! – odchyliła się do tyłu i pociągnęła go lekko.

Chwilę później przemierzali wąskie, kamienne ulice Tar'durosh, przeciskając się pomiędzy dziesiątkami przechodniów. Minęli długi szereg domów z grzybodrzewia przyozdobionych donicami pełnymi wielobarwnych mchów i trafili na placyk, gdzie lokalni kupcy prezentowali swoje wyroby. Ivva zatrzymała się przed krasnoludzkim sprzedawcą płaskorzeźb i z zaciekawieniem zaczęła przeglądać jego towary.

- Chyba nie widzisz tego u nas nad łóżkiem – rzucił Evan, wskazując na dzieło przedstawiające grupę wojowników zmagających się z powykręcanyimi kreaturami.

- Ale na przykład to – pokazała na płaskorzeźbę ukazującą bujny grzybowy las, pełen drobnych stworzonek. – W salonie, nad kanapą. Ile to kosztuje?

- Kategoryczne nie – stwierdził Evan usłyszawszy cenę od sprzedawcy.

Jego żona zachichotała i pociągnęła go za rękę. Trafili na urokliwą alejkę utworzoną pomiędzy smukłymi, ostrymi stalagmitami, które na ostrzach ozdobiono niebieskimi lampionami. Ivva przytuliła się do swojego męża i trwała tak przy nim aż dotarli na miejsce. Podeszli do tysego, starego krasnoluda, który zajmował się wynajmem łódek i sprzedażą słodyczy.

- Witam – zagaił do handlarza, a ten skinął mu głową. – Tą zielonawą, na jedną godzinę – powiedział wyciągając kilkadziesiąt miedziaków.

- Coś jeszcze? – burknął niskim tonem krasnolud i rzucił okiem na jego żonę. – Ale ma pan piękną towarzyszkę, może jakieś słodkości dla niej, bo widzę, że myszkuje wzrokiem.

- Oczywiście, że piękną. Innej bym nie wybrał – uśmiechnął się zadowolony. – Które chcesz, kochanie?

- Może trochę tego – powiedziała po chwili zastanowienia, wskazując karmelowe trufle. – I jeszcze tego – postukała palcem w pudełeczko pełne lukrowanych grzybków.

Evan zapłacił krasnoludowi, po czym dopomógł żonie bezpiecznie wejść na łódkę. Chwycił za wiosła i wprawnymi ruchami pokierował ich w stronę małej, glonowej wysepki, która otoczona była plejadą grubych stalagmitów. Ivva rozsiadła się wygodnie, kładąc mu nogę na udzie, a następnie z dziecięcym uśmiechem zaczęła pałaszować jedną słodycz za drugą.

- Nie tyle naraz! – zaśmiał się, widząc jak bierze garść trufli. – Już bez tego jesteś słodka – mrugnął do niej zadziornie.

- Obawiasz się, że dla ciebie nie wystarczy? – uśmiechnęła się i włożyła mu do ust jeden cukierek. – I powinieneś!

Minęli kępy unoszących się na wodzie, ciemnozielonych mchów i trafili w pobliże wyskakujących z wody drobnych rybek. Ivva spojrzała w ciemną toń i zadumała się na chwilę, a Evan odstawił wiosła i zaczął przyglądać się rybim zawodom.

- Ostatnio trafił mi się chłopiec z przepięknym głosem – przeniosła wzrok na swego męża. – W dodatku jest bardzo pracowity, więc jak go doszlifuję, to będzie z niego świetny śpiewak. Jest uroczy i miły, ale strasznie sztywny. Wiesz jak do mnie mówi? – spytała z dumnym uśmieszkiem. – „Mistrzyni” – zachichotała. – Jego rodzice są bardzo restrykcyjni. Ja bym na pewno taka nie była dla swojego dziecka – smutek powoli wkradał się w jej oczy. – Dzieci muszą mieć dużo uśmiechu w domu...

Evan sięgnął ręką do stawu i gwałtownym ruchem ochlapał Ivvę. Jego żona pisnęła zaskoczona i zasłoniła się rękoma przed kolejną strugą wody. Zrozumiałwszy bezcelowość swojej zasłony z przymrużonymi oczami odpłacała się tym samym.

- No juuuuuż – jęknęła po chwili widząc, że nie ma szans w tym starciu. – Poddaję się!

- Łatwa z ciebie ofiara – rzucił, sięgając po lukrowane grzybki. – Słodyczne są moje – uśmiechnął się zawadiacko.

- A jak poproszę – przysunęła się nieco bliżej i spojrzała na niego z dołu. Wilgotne włosy przylepiły się jej do policzków.

- To wtedy odstąpię ci parę – Ivva sięgnęła do jego ust, podciągając się na jego kolanach. Evan otoczył ją ramieniem w talii, a drugą dłonią odgarnął przemoczone kosmyki z jej twarzy. Wydała się nieco zbyt zimna w dotyku.

- Dobrze się czujesz? – zapytał zaniepokojony.

- Mhm – pokiwała głową, odsuwając się odrobinę.

Nastała chwila ciszy.

- Moi rodzice zapraszają nas na rocznicę – zagaił. – Musimy się wybrać kupić prezent.

- Może płaskorzeźbę? – zachichotała Ivva.

- Bardzo śmieszne – pokręcił głową, lecz nagle zwrócił uwagę na dłoń swojej żony, która mocno ścisnęła brzeg łódki. Jeszcze raz sięgnął do jej czoła. Była bardzo zimna. Od razu przytulił ją do siebie, a ta złożyła głowę na jego ramieniu.

- Może jednak czuję się nieco gorzej – wymamrotała, przymykając oczy.

- Zrobię ci ciepły wywar w domu, wracajmy – zdjął płaszcz i otulił ją.

- Mamy jeszcze z dwadzieścia minut...

- Wracamy – uciął ostrożnie, wiosłując w stronę brzegu. – Bez dyskusji.

Ivva mruknęła cicho i zadrżała z zimna.

* * *

Evan próbował zebrać myśli i skupić się na grze logicznej, którą miał przed sobą. Nerwowo postukując palcami przesunął półkolisty klocek, a następnie ze skórzanego woreczka dobrał kolejny element układanki. Ten nigdzie nie pasował. Wściekle zerwał się na nogi roztrącając całą konstrukcję, którą udało mu się zbudować. Podszedł do okna i spuścił głowę chwytając się parapetu. Po chwili rzucił przelotne spojrzenie na drzwi do sypialni i spróbował się uspokoić. W końcu z pokoju wyszedł szaroelfi medyk. Evan od razu zwrócił uwagę na jego poważny wyraz twarzy i chłodne spojrzenie.

- Jak? – wydyszał Evan.

- Ataki są coraz częstsze – odpowiedział lekarz kręcąc głową. – Nie widać żadnych znamion poprawy – położył swoją torbę na stole. – Musi się pan przygotować na najgorsze.

- Ile zostało jej czasu? – wyjrzał przez okno, gdyż nie mógł spojrzeć medykowi w oczy.

- Od dwóch do trzech lat, w porywach do czterech. Za rok będzie przykuta do łóżka.

- Rozumiem.

- Za wizytę należy się siedemdziesiąt miedziaków.

- Trafi pan do wyjścia – z beznamiętnym wyrazem twarzy położył odliczoną kwotę na stole.

- Oczywiście – medyk skłonił się lekko. – Do widzenia.

Evan podszedł do drzwi sypialni i sięgnął po klamkę. Chłodny metal sprawił, że się zawahał. Czy był sens powiedzieć jej? Czy może lepiej ciągle kłamać? Myśli dręczyły go niczym zmyły, z sekundy na sekundę pozbawiały go nadziei przybliżając do okrutnej prawdy.

- Wejść kochanie – doszedł go słaby głos żony.

Otwierając drzwi podjął decyzję. Nie patrząc na swoją żonę usiadł na łóżku tuż przy niej. Wśród fałd kołdry odnalazł jej wciąż chłodną dłoń. Ivva zaczęła się przekręcać aż w końcu przytuliła się do ramienia męża. Wplótł swoje palce w jej w przejmująco piękne, szare włosy.

- Boję się – załkała cichutko.

- Wiele podróżowałem. Bycie przewodnikiem po Świecie Pod dużo uczy.

- Boję się...

- Jestem przy tobie, czego tu się bać? – sięgnął dłonią do jej policzka i uniół jej twarz aby obdarować ją pocałunkiem. Jego druga ręka objęła ją w pasie. – Dla odważnych zawsze jest nadzieja. Posłuchaj mnie, dobrze? Chcę ci coś opowiedzieć – Ivva delikatnie pokiwała głową. – Ponad czterysta lat temu żył pewien potężny czarodziej medycyny. Jego zdolności uzdrawiania były tak wielkie, że obwołano go cudotwórcą. Jednakże trapiła go myśl o tym, że nie jest w stanie pomagać wszystkim. – Evan skradł jej jeszcze jeden pocałunek. – Mag wyruszył w wielką podróż i zdomowił się w Puszczy Tirinalsi, głęboko w Świecie Pod. Uczynił to, gdyż rośło tam naprawdę wiele zadziwiających roślin i grzybów, które niosły ze sobą uzdrawiające właściwości. Przez dziesiątki lat eksperymentował, a wszystko po to by stworzyć uniwersalne lekarstwo – Evan przymknął oczy i uniół głowę. - Niezliczone ilości prób, rozterki, trwanie w niebezpiecznej dzicy, brak luksusów, a przecież przywykł do nich od dziecka. To wszystko w końcu zaowocowało i stworzył szczep mchu, który zdolny był dawać życie każdemu choremu. Zewsząd zaczęli do niego pielgrzymować chorzy i umierający. Jednak tak ciężką i niebezpieczną drogę mogli przebyć jedynie ci, którzy mieli siłę i determinację. Przybywali bogaci i

potężni, a on ich leczył ze wszystkich dolegliwości. Jednak z czasem do czarodzieja zaczęły dochodzić niepokojące wieści o mordach, wojnach i wielu innych krzywdach, których dopuszczali się jego byli pacjenci. Tak wielu przy nim lamentowało, że aż serce maga przepełniło się wątpliwościami – Evan pogładził zimny policzek swojej żony. – Ukrył on ten cudowny szczep mchu tak aby tylko osoba o czystym sercu i dobrotliwej naturze mogła go odnaleźć. Z czasem czarodziej zginął z rąk tych, których niegdyś uleczył. Byli oni złażnieni potęgi uzdrawiania, tej która była w jego rękach. Jednak nigdy nie zdołali jej odnaleźć. Legenda mówi, że ten mech wciąż kwitnie w Puszczy Tirinalsi, ale pojawia się tylko wtedy, gdy tamtejsze wyziewy gorącego powietrza rozpylają grzybowe pyłki. I wiesz co kochanie? – spojrzała na niego smutnym wzrokiem. – Za cztery miesiące od teraz będzie to miało miejsce. Ja znam drogę, a ty masz czyste serce i dobrotliwą naturę – uśmiechnął się do niej, a ona szeroko otworzyła oczy. – Wyruszymy razem?

- Ja... - sięgnęła ręką do jego policzka i uspokoiła się. Przymrużyła delikatnie oczy i szepnęła: - Ochronisz mnie przed potworami?

- Przed wszystkim.

- Obiecujesz?

- Tak – ich usta spotkały się w łagodnym pocałunku.

* * *

Cisza i ciemność były ich sprzymierzeńcami w tej niekończącej się wędrówce zawiłymi tunelami Świata Pod. Ubrani byli w ciemnobrązowe, grube płaszcze, pod którymi nosili przeszywanice i podręczną broń. Na nogach mieli najlepszej jakości skórzane buty, absolutnie niezbędne w takich podróżach. Tobołki nie mogły być zbyt ciężkie, więc zapasy jedzenia wystarczą jedynie na dwa cykle, chociaż i tak większość ciężaru stanowiły różnorodne narzędzia, które Evan wykorzystywał do oceny zagrożenia i ochrony przed nim. Jak dotąd Ivva czuła się dobrze, a co więcej przepełniała ją ekscytacja. Czasem nawet łapał ją romantyczny nastrój.

Trafili do miejsca, gdzie rozciągały się dziesiątki płytkich, brudnych kałuż, a ściany korytarza usiane były grubymi żyłami gliny. Szary elf prowadził bardzo powoli i ostrożnie, nie zwracając uwagi na piękne, skalne formacje będące dziełem natury. Znajdowało się tu też parę małych robaków, które leniwie pełzały w okolicach wnęk i szczelin. Będąc przewodnikiem po Świecie Pod widział je już wielokrotnie i wiedział, że nie były groźne. Raz w życiu był nawet zmuszony żywić się nimi i pamiętał, że o dziwo smakowały całkiem nieźle.

Przystanął na chwilę i klęknął przy świeżych, regularnych śladach wielonożnego stworzenia. Kołowe zakończenia odnóży, odcisk ogona oraz pozostałości śluzu. Wszystko wskazywało na to, że był to brodziel - larwowaty ślimol chodzący na wielu chudych nóżkach. Stanowił zagrożenie, gdyż posiadał niezwykle silną truciznę. Evan wstał i zbliżył się do swojej żony. Odsunął jej kaptur i wyszeptał do ucha:

- Niebezpieczne stworzenie. Nie atakuje bez pułapki. Zatrute kałuże. Idziemy ostrożnie. Za mną.

Jego żona delikatnie pokiwała głową. Nawet pomimo mroku dostrzegł w jej oczach niepokój. Evan dla pewności ostrożnie wyciągnął wąskie ostrze, które służyło mu już prawie setkę lat. Wiedział, że stwór skryje się w jednej z dziesiątek naturalnych wnęk skalnych. Szli łukami, omijając nawet najdrobniejsze kałuże. Nagle, tuż obok niego, spadła samotna kropla. Zaklął w myślach ze względu na swoją nieostrożność. Wcześniej nie słyszał odgłosów kapiącej wody, ale to nie mogło go usprawiedliwić. Na jego barkach spoczywała teraz największa odpowiedzialność w całym jego życiu.

Nie może zawieść Ivvy. Zaciśnął zęby i ruszył dalej. Przed sobą dostrzegł niezwykle gęsto zalegające kałuże. Nie sposób było je ominąć.

- Co teraz? – szepnęła zaniepokojonym głosem Ivva, a jej mąż skarcił ją spojrzeniem i położył palec na ustach. Szybko wyciągnął drobną buteleczkę gęstego, czarnego płynu i skropił nią kilka kałuż. Uważnie patrzył jak substancja rozchodzi się po wodzie i na szczęście wyraźnie dostrzegł, które zostały zatrute, a które nie. Gestem dał znać żonie, aby podążyła za nim. Letnia woda przez chwilę zachlupotała pod ich stopami. Wyszli na miękką, wilgotną glinę i wtedy dostrzegli obślizgłe cielsko wielonożnego stwora o ociekającym śluzem ogonie. Był w kamiennej wnęce. Przyczepiony do ściany trwał w absolutnym bezruchu. Miał na sobie wiele obrzydliwych krost, jedno jego oko było czarne, a drugie pokryte bielmem, natomiast wokół okrągłego pyska wyrastały małe zrogowacenia. Evan usłyszał przyspieszony oddech swojej żony. Przyłgnęła do jego ramienia, a jej twarz cała pobladła. Jeszcze nigdy nie widziała potwora. Całe życie spędziła w bezpiecznym mieście Tar'durosh. Dopiero teraz dostrzega jak naprawdę wygląda Świat Pod i jego mieszkańcy. Przewodnik dla pewności skierował ostrze w stronę stwora. Brodziel nawet nie drgnął. Przeszli obok niego nie spuszczając go nawet na chwilę z oczu i ponownie trafili pomiędzy kałuże. Największe zagrożenie dzisiejszego dnia mieli już za sobą. Jak na pół cyklu podróży szło naprawdę dobrze.

* * *

Pomiędzy sękatymi kapeluszami przelatywały kosmate ważki, o zwisających, cieniutkich ogonkach, a przy trzonkach spacerowały wciągacze – patyczaki o długich i ostrych nosach, które wbijały w grzyby, aby wyssać z nich składniki odżywcze. Rozbili obóz tuż przy małym źródelku, do którego spływała woda po gładkiej ścianie jaskini. Potężne korzenie i wielkie grzybodrzewia zapewniały im prywatność i osłonę, a gęsto rosnący, miękki mech był dla nich najwspanialszym łóżem. Piękno tego miejsca dopełniały znajdujące się dookoła błękitne porosty, które delikatnie pulsowały dodając blasku całej okolicy.

Ivva była wręcz zauroczona bajkową scenerią zagajnika. Z jej twarzy nie znikał uroczy uśmiech, chyba że w momencie, gdy obdarzała swego męża pocałunkami. Usiadła na nim okrakiem i pochyliła się tak mocno i gwałtownie, że niemal oboje wpadli do sadzawki.

- Jakże tu pięknie – zachwyciła się, wyciągając mokre włosy, które zdołały sięgnąć powierzchni stawu. – Nie sądziłam, że może istnieć miejsce takie jak to...

- Poczekaj aż ujrysz Puszcę Tirinalsi – wyszeptał jej do ucha Evan i zaczął je lekko podgryzać. – Tam to dopiero będziemy mieli nastrój – elfka mruknęła przeciągle, lecz odstąpiła, aby wysuszyć włosy. Evan spojrzał na nią lekko rozczarowany, gdyż po jej igraszkach liczył na coś więcej.

- Pójdę zebrać nieco morchlików oraz krazików. Widziałem parę – poklepał ją po głowie. – Zostań tutaj.

Zagłębił się w puszcę aby uzupełniać zapasy żywności. Z oddali doszła go piskliwa pieśń godowa dziwnych stworzeń zwanych ptakami Maru. Dzięki temu upewnił się, że okolica była względnie bezpieczna, skoro ptactwo pozwalało sobie na zaloty. Zebrał tylko tyle jedzenia ile było konieczne, gdyż mimo wszystko nie chciał zostawiać żony na zbyt długo.

Siedziała przy stawie i czesała swoje długie, szare włosy, wypatrując go urokliwymi, szarymi oczami. Przez chwilę wyglądała jak prawdziwa nimfa – piękna i tajemnicza. Evan odłożył płaszcz tuż

obok niej i zaczął oczyszczać zebrane korzonki. Ivva w ciszy przyglądała się jego pracy, od czasu do czasu obdarowując go uśmiechem. Wyjął z tobołków samotną butelkę wina i odkorkował.

- Słyszałam dziwne dźwięki w oddali – zagaiła szara elfka, przysuwając się nieco bliżej niego.

- To pieśni godowe ptaków Maru. Takich stworzeń, które potrafią szybować, a nawet latać. Nic groźnego.

- Ty na początku nie śpiewałeś, chociaż pilnie się tego uczyłeś – zachichotała. – Robiłeś to dla mnie? Jak te ptaki?

- Ja nie śpiewam godowo – chwycił ją wolną ręką za podbródek, a ona zamruczała. – Masz zjedz to – namoczył jeden korzonek w miseczce pełnej wina i podał jej do ust.

- Pyszne – uniosła brwi i rozpromieniła się. – Naprawdę pyszne.

- U nas ciężko dostać świeże.

- Wracając do tematu – położyła się kładąc głowę na jego kolanach. Wciąż miała mokre włosy.
– Dlaczego zapisałeś się do mnie na nauki śpiewu?

- Mówiłem ci już, że to nie twoja sprawa – podał jej kolejny kawałek. – Jedz.

- Zrobiłeś to dla mnie? Chciałeś być bliżej mnie?

- Nie twoja sprawa.

- Powiedz, no proszę – sięgnęła dłonią do jego policzka i pogładziła go delikatnie. – Ładnie proszę – zrobiła uroczą, błagalną minę.

- Nie – powiedział z mniejszym zdecydowaniem niż zwykle, a jego żona doskonale to wyczuła.

- Nie chcesz mi powiedzieć nawet wtedy, gdy jestem ciężko chora – jej ton był pełen udawanego wyrzutu. Przekręciła się odwracając od niego wzrok. – A tak bardzo bym chciała wiedzieć...

Evan przełknął ślinę i aż ręka mu zadrżała ze zdenerwowania. Jednak po chwili się uspokoił, gdyż przecież ona niedługo...

- W pewnych jeziorach Świata Pod żyją wyjątkowe stworzenia – zaczął łagodnym tonem. – Syreny.

- Syreny? – z powrotem się do niego odwróciła i ponownie pozwoliła się karmić.

- To niezwykle istoty, o których słyszałem wiele legend, ale nigdy żadnej nie widziałem, pomimo że jestem przewodnikiem już ponad sto czterdzieści lat. Nabrałem marzenia aby spotkać jakąś – Ivva lekko zachichotała. – Syreny unikają innych ras, a już zwłaszcza grup. Jedyna szansa to śpiew samotnej istoty i sprzyjający los, że syrena go doceni.

- A więc to dla syren do mnie chodziłeś – podciągnęła się i usiadła obok niego.

- Jednak jak cię poznałem to dość szybko zapomniałem o tym marzeniu. Po prostu chciałem się z tobą widywać – przysunął się bliżej niej i ręką przejechał po jej udzie, a ustami sięgnął szyi.

- Trochę gorzej się czuję – odsunęła się i odepchnęła jego rękę. Evan od razu położył jej dłoń na czole, ale nie wyczuł obniżenia temperatury. – Tak po prostu się gorzej czuję – zmrużyła oczy. – Syrenę se całuj – mruknęła z obrażoną miną.

W Ewanie zagotowała się krew. Szczerość nigdy nie popłacała.

* * *

Przed nimi rozciągała się olbrzymia jaskinia usiana niezliczoną ilością granatowych stalaktytów, niemal sięgających do nierównego, chropowatego podłoża. Pomiedzy nimi wiły się grube, sękate korzenie, po których pełzały dziesiątki drobnych larw i insektów. Powietrze wypełniał tłumiący wdech, mdły zapach, a temperatura była nieco wyższa niż zazwyczaj. W takim miejscu jak to, trzeba było mieć się na baczności. Evan prowadził z obnażoną bronią, a Ivva podążała tuż za nim. Szara elfka była mocno zestresowana i co rusz nerwowo rozglądała się dookoła. Musieli wspiąć się po grubym, poskręcanym korzeniu, aby trafić na półkę skalną, z której byli już w stanie przeskoczyć przez grodzący ich drogę głąz. Oboje mieli dobrą kondycję, więc już po chwili znowu byli na właściwej ścieżce. Nie przeszli więcej jak kilkanaście kroków, gdy zewsząd doszedł ich straszliwy ryk. Dziwne echo rozbrzmiało ze wszystkich stron i cały świat wypełnił się kakofonią nieludzkich wrzasków. Ivva przylgnęła do ramienia męża, a ten zamarł w bezruchu. Zdołał wyłapać odgłosy szponów, przenikliwe piski i gniewne warkoty – gdzieś nieopodal dwie bestie toczyły zażarty bój. Droga powrotna nie wchodziła w grę, musieli jak najszybciej przedostać się dalej, nie mogli czekać aż jedno monstrum zwycięży. Evan złapał żonę za rękę i pociągnął za sobą. Znał to miejsce bardzo dobrze. Zaczęli kluczyć pomiędzy granatowymi stalaktytami, nie bacząc na pełzające dookoła insekty. Ivva spróbowała coś powiedzieć, lecz jej głos przepadł w plejadzie przenikliwych wrzasków. Echo przybierało na sile, lecz nie było innej drogi.

Ich oczom ukazała się zakrwawiona bestia o ośmiu pajęczych odnóżach zakończonych chitynowymi grotami. Z przodu tułowia było cienkie, poznaczone kośćmi, a za nim obły odwłok, z którego wyrastało skorpionie żądło. Ośmiu oczu lśniło czernią na czaszkowatym łbie o bezzębnej paszczy. Bestia targnęła się w bok i zniknęła im za serią grubych stalaktytów. Ivva ścisnęła rękę swojego męża tak mocno, że aż poczuł lekkie zdrętwienie. Zdecydowanym ruchem pociągnął ją za sobą, lecz zdołała przejść jedynie parę kroków. Kilkanaście łokci przed nimi przemknęła ciemnoniebieska bestia o trzech grubych jak pnie odnóżach zakończonych setką alabastrowych szponów. Jej cielsko było niemal płaskie i prawie w całości pokrywała je zębata paszcza oraz okrąg mętnych oczu dookoła niej. Ivva opadła na kolana i zaczęła łkać z przerażenia. Jej czoło było zimne. Evan nie szczędząc czasu schował broń i wziął ją na rękę.

Przerażająca seria pisków obwieściła kolejne starcie potworów. Szary elf poczuł jak przez mdły zapach tego miejsca przebija się woń krwi. Pomiedzy szeregiem granatowych stalaktytów dostrzegł jak szpony rozszarpują jedną z nóg pajęczaka, a ten w odwecie spluwa kwaśną wydzieliną prosto w tułowia przeciwnika. Jednakże drapieżnik nienaturalnym zrywem uniknął całości. Szponiaste stworzenie wbiło pazury w skałę i podciągnęło się do góry, po czym znienacka zaatakowało skorpionie żądło przeciwnika.

Evan w ulgę przywitał wąski tunel wypełniony małymi grzybkami. Gdy tylko grunt pod stopami zrobił się stabilniejszy, puścił się biegiem. Mijał zakręt za zakrętem, lecz skryty w gęstwinie kamień zaburzył jego równowagę. Zdążył zareagować. Okręcił się w locie i upadł na plecy, przeorując nieco zbroję, tłukąc coś w manatkach i przysparzając sobie sporego siniaka. Jednakże Ivvie nic się nie stało. Ponownie wziął ją na rękę i niósł ile tylko był w stanie. Gdy już stracił siły w rękach, ostrożnie ułożył ją na ziemi i okrył swoim płaszczem. Potrzebowała ciepła. Musiał rozpalić ogień. Sięgnął do swojego plecaka i przeczesał go w poszukiwaniu hubki i krzesiwa.

Z pobliskiego rozgałęzienia doszły go odgłosy kroków. Zamarł w bezruchu i rozejrzał się dookoła. W oddali dostrzegł zarys niskiej postaci.

- A kogóż my tu mamy?

* * *

Ciepło niewielkiego ogniska wyraźnie dodawało Ivvie sił. Evan ostrożnie podał jej mętny, ziołowy wywar, a ona mruknęła w podzięcie i upiła nieco. Jego żona potrzebowała teraz odpoczynku, więc delikatnie ułożył ją na grzybowym poszyciu.

- Niemądrze tak podróżować we dwie osoby – rzucił gardłowym głosem krasnolud imieniem Tamazyt i poklepał ziemię obok siebie. Evan okrążył ognisko i przysiadł obok niego.

- Czasami trzeba – westchnął szary elf, wpatrując się w trzaskający ogień. – Czasami trzeba...

- A to waszą karawanę bandyty zaatakowały? Albo jakieś potwory? Reszta nie przeżyła czy jak?

- Sami wyruszyliśmy.

- No to mózgu nie macie – zaśmiał się krasnolud i szturchnął łokciem Evana. – Nas jest przeszło tuzin – wskazał na obozujących nieopodal towarzyszy. – A i tak bezpiecznie to to nie jest. Nawet jak się jest uzbrojonym po zęby – poklepał rękojeść swojego miecza. – A wy nawet solidnej zbroi nie macie, tylko takie ciuszki. Dziad mój mówił, że przeszywanice to się na dzieci zakłada żeby się nie skaleczyły, he he.

- Od ponad stu czterdziestu lat jestem przewodnikiem, wiem jak przetrwać w Świecie Pod – przymrużył oczy i przyjął grzybową strawę, którą wcisnął mu krasnolud. – Podstawa to unikanie zagrożeń, co w waszym przypadku jest raczej niemożliwe. Karawana zaprzężona w diaha i tuzin wędrowców mają mniejsze szanse niż my.

- No na pewno – parsknął krasnolud i machnął lekceważąco ręką. – My idziemy jak lawina, rozrąbujemy wszystko na naszej drodze.

- No to tam dalej czeka na was kikimora albo szponiszcz – rzucił Evan, żując strawę. – Życzę powodzenia. Swoją drogą to gdzie podróżujecie? Może wskażę wam lepszą drogę, dobrze znam te okolice.

- My? My to do Tar'durosh jedziem. Ten tamten, Jurgrenh – wskazał na łysiejącego krasnoluda o krótkiej, rudej brodzie. – Ma tam rodzinę i poszliśmy za nim. Podobno ładne miasto.

- Ładne, ładne, my właśnie z Tar'durosh – westchnął Evan, wspominając swój dom. – Wykreślę wam najlepszą drogę powrotną.

- Byłoby miło – mrugnął do niego i wyciągnął srebrzystą piersiówkę. – Golniesz sobie?

- Odrobinę – wziął małego tyka i skrzywił się, na co krasnolud zachnął się śmiechem.

- To jak tam z tym Tar'durosh? Powiedz co nieco, bo Jurgrenh to tylko raz tam był.

- Miasto przeżywa dobry okres, kwitnie handel, ze względu na to, że przekopano nowy tunel tworząc lepszą trasę dla karawan. No i jeszcze budują wielką latarnię, która ma podobno oświetlać całe miasto.

- A po co komu takie coś? – uniósł kędzierzawe brwi Tamazyt.

- Dla rozmachu – uśmiechnął się kątem ust Evan. – A po co innego?

- No ta, no ale to znaczy, że się dobrze wie, jak pieniądze przepierniczają. U nas to się każdego miedziaka pilnowało, a zwłaszcza ostatnio, jak się ruda kończyła.

- A wy skąd jesteście?

- Z takiej małej górniczej placówki. Żyłazo wydobywaliśmy – krasnolud zrobił smutną minę i westchnął. – No ale ruda się skończyła i trzeba było odejść. Każdy w swoją stronę. My tu jak jedność zawsze byliśmy więc razem chcieliśmy gdzieś wyruszyć. Się naradzaliśmy – spojrzeli w stronę pogrążonej w żarliwej dyskusji kompanii, gdzie niemal wszyscy żywiołowo gestykulowali. – No i padło na Tar’durosh, bo Jurgrenh przeforsował. O patrz, idzie do nas – wskazał palcem na mocno tysiąjącego krasnoluda. – Siądź przy nas Jurgrenh!

- Chopaki obstawiają, że ta zemdląca kobietka to twoja siostra – odezwał się nowoprzybyły i klapnął obok nich. – To jak jest? – wwiercił w niego spojrzenie jednego oka, gdyż drugie cały czas miał nieco przymknięte.

- To moja żona. Powiedz „chopakom”, że nie trafili.

- Oni zawsze nie trafiają – zaśmiał się Tamazyt. – Ale żyłazo to bić potrafią, nie ma co się przyczepić.

- Powiedz no, typie, to wasza jakaś podróż poślubna? Czy jakie inne zboczenie? – rzucił nieprzyjemnym tonem Jurgrenh i przegryzł kawałek mięsa, które przyniósł ze sobą. – Mięso przeraza – dopowiedział z pełnymi ustami. – Ubiliśmy jednego. Chcesz trochę?

- Nie dzięki, ale może daj nieco lvvie, wzmocni ją – powiedział ze spokojem, lekceważąc pierwsze pytanie. – Mi możesz dać nieco wody.

Jurgrenh podał mu pękaty bukłak, po czym wstał i podszedł do lvvie. Evan spojrzeli na niego z niepokojem, gdyż ten szturchnął ją i zaczął cicho gaworzyć.

- E Jurgrenh, łap – Tamazyt rzucił mu swoją piersiówkę. – Tym się kobitka rozgrzeje, a nie ziółkami – zaśmiał się gardłowym głosem. Evan nie zaprotestował. Mimo wszystko z obcymi w Świecie Pod trzeba uważać, przecież nie ma tu nikogo kto by był w stanie ich powstrzymać. Chociaż na szczęście wydają się być porządni i pocziwi. Gdyby był sam to mógłby liczyć na ucieczkę, lecz z chorą lvvą jest zdany na ich łaskę i niełaskę.

- Po drodze możecie przystanąć w jednym zagajniku aby uzupełnić wodę i żywność. Znajdziecie tam sporo morchlików – zagał po chwili ciszy Evan.

- Jak byłem mały to matka mnie ciągle zmuszała do obierania morchlików – burknął Tamazyt. – Jadłem je prawie całe życie. Ojciec bardzo lubił je żreć, a ja to tylko ciągle marzyłem, żeby się mięcha nawpierniczać. Swoją drogą... - zawiesił głos. – To gdzie wy podróżujecie?

- Do Puszczy Tirinalsi.

- Pogięto was? Węgiel wam na łeb pierdolnął? Przecie to dzicz jakich mało, pełno drapieźników i innych.

- Wszędzie jest niebezpiecznie – wzruszył ramionami Evan. – A przebyliśmy już zdecydowaną większość drogi.

Tamazyt spojrzeli na niego z politowaniem, po czym obwieścił, że musi iść na ubocze. Evan ponownie wejrzał w spokojne płomienie niewielkiego ogniska. Z transu wyrwało go szturchnięcie Jurgrenha.

- Wstań i chodź – warknął krasnolud i ruszył w stronę okazałej wnęki. Gdy tylko Evan podszedł do niego, ten złapał go za wszarz i przycisnął do zimnej ściany.

- Co ty kurwa sobie myślisz elfie? – obnażył zęby i szerzej otworzył drugie oko ukazując bielmo. – Do puszczy zabierasz ledwie żywą kobietę? – uderzył nim dwukrotnie o kamień. – Gadaj robaku i kłamco, albo usiekę cię na miejscu, a ją zabiorę z nami do Tar’durosh!

- O co ci chodzi? – parsknął Evan, przyjmując pogardliwy grymas na twarzy. – Zajmij się swoimi sprawami krasnoludzie.

- Sam wybieram co jest moją sprawą – Jurgrenh sięgnął po kozik i przyłożył go do otwartej dłoni Evana. – Gadaj robalu mówię, bo posieczę. Znam ja Puszczę Tirfinalsi i nie ze mną te numery.

- Tirinalsi – rzucił z wrednym uśmiechem Evan, a krasnolud warknął z wściekłości i popchnął lekko sztylet. Szary elf poczuł ból i ciepło krwi płynącej wzdłuż jego palców. – Tak okłamałem ją. Nie ma żadnego legendarnego mchu, nie było nigdy żadnego maga-uzdrowiciela, który tam mieszkał. Zrobiłem to wszystko – elf zacisnął zęby ze wściekłości. – Zrobiłem to wszystko! Dla niej. Aby miała nadzieję, do samego końca! Aby ujrzała najpiękniejsze miejsce na świecie jakie znam! Aby miała podróż swojego życia, razem ze mną! Jeśli mamy umrzeć, to umrzemy razem!

- Popierdoliło cię. Jesteś jebanym głazem.

- Za rok nie będzie wstawać z łóżka. Nie chcę na to patrzeć. Nie mogę znieść myśli, że będzie umierała długo i boleśnie – wycedził przez zęby i złapał nadgarstek dłoni dzierzącej kozik. – Jeśli uda się nam tam dotrzeć, to dam jej wywar ze zwykłego lokalnego mchu. Jeśli ona będzie bardzo, bardzo wierzyć, że jej to pomoże, to może wyzdrowieje – chwyt krasnolud zelżał więc odepchnął go od siebie. – Czasami tak się dzieje. Siłą nadziei, nawet fałszywej. A jeśli nie, to umrzemy razem, w najpiękniejszym miejscu jakie znam. Nic ci do tego – uderzył oskarżająco palcem w kolczugę Jurgrenha. – Nie powiesz jej o tym. Zabiję cię jak to zrobisz, rozumiesz?

- Dobra, ale lepiej o nią dbaj – burknął krasnolud i odszedł do swoich kompanów. Evan zacisnął zakrwawioną dłoń i ruszył do ogniska. Przywitał go niemrawy uśmiech jego żony. Usiadł obok niej, a Ivva przysunęła się bliżej i ułożyła swoją głowę na jego kolanach.

- Ten miły pan – zaczęła podpitym tonem, lekko przy tym sepleniąc. – Pan Jurgrenh powiedział, że zamieszka w Tar’durosh – zamruczała cicho. – Powiedziałam, że jak wrócimy, to zapraszam go na obiad. Bardzo nam wszyscy pomogli, prawda?

- Tak, pomogli nam.

- Zrobię wielką ucztę.

- Mhm, odpoczywaj kochanie.

* * *

Ivva zanurzyła twarz w przejrzystych wodach łagodnie płynącego potoku. Cały dzień dręczyły ją bóle głowy i suchość w ustach, zapewne ze względu na krasnoludzką gorzałkę Tamazyta. Evan usiadł nieopodal i napełnił bukłak czystą wodą. Jego żona powiodła palcami po dnie strumienia i po chwili wyciągnęła podłużnego skorupiaka o kręconej, brązowej muszli.

- Spójrz kochanie jakie ładne – powiedziała, przerzucając mokre włosy na drugi bok.

- Może być – odłożył napęczniony bukłak i sięgnął po kolejny. – Pewnie jest jadalne, więc możemy parę nazbierać.

- To się tym zajmę – ponownie zanurzyła głowę pod wodę i zaczęła szperać dłonią po mulistym dnie. Evan przyglądał się jej z drobnym uśmieszkiem. Ivva od zawsze potrafiła ekscytować się drobiazgami, chociaż niestety ostatnio choroba przytłumiła jej zapał. Przyjemnie było widzieć ją pełną energii i pasji.

Po tym jak jego żona wyciągnęła kolejne dwa skorupiaki, postanowił przytączyć się do wyławiania. Dno było mocno zamulone, chociaż gdzieś tam dało się dostrzec podłużne czy też obłe muszle. W potoku pływało też kilka małych rybek z czarnym płetwami i zielonym ogonkami, które błyskawicznie umykały od ich rąk.

- Kochanie, zobacz co znalazłam – powiedziała pełnym ekscytacji głosem. – Zobacz, zobacz!

Ze strumyka wyciągnęła małą skrzyneczkę wykonaną z dziwnego, gładkiego materiału. Nigdzie nie było widać dziurki od klucza, a całość wydawała się być całkowicie szczelna. Evan uniósł brwi z zaskoczenia i wyciągnął rękę po znalezisko, a Ivva podała mu ją z błyskiem w oczach.

- Otwórz, otwórz! – pisnęła zafascynowana.

Evan sięgnął po sztylet i zaczął mocować się ze skrzyneczką. W końcu zdołał zrobić małą szczelinę i podważyć wieko. Ivva przysunęła się bliżej przygryzając nieco wargę.

W środku znajdowały się dwa identyczne, połączone klucze zawieszone na srebrnych łańcuszkach. Miały długość palca, a ich wykonanie było niezwykle kunsztowne. Główki ozdobiono drobnym grawerunkiem, a ich języczki tak dopasowano, że uzupełniały się kształtem.

- Klucze? – zadumała się Ivva. – Czemu klucze? Może do jakiegoś skarbu?

- Do pewnego skarbu – uśmiechnął się tajemniczo Evan i wcisnął jej jeden do dłoni. Uniósł jej rękę i pokazał jak klucze uzupełniają się wzajemnie, po czym zbliżył się do niej i pocałował przeciągle. – To pokłosie starej tradycji miłosnej. Były zamiast obrączek, klucze do serca drugiej osoby.

- Jakie to romantyczne – zamruczała i zaczęła obcałowywać jego szyję. – Może to był jakiś potajemny ślub? Kochankowie w niebezpiecznej podróży... niemogący czekać z uroczystym wyjawieniem swojego uczucia...

- A może wyrzucając te klucze w takim miejscu dali sobie rozwód? – rzucił Evan, a Ivva od razu przestała się do niego przymilać.

- To musi być symbol ich wiecznej miłości. Jako kobieta doskonale to rozumiem – stuknęła go palcem w pierś. – To był piękny, potajemny ślub! I my teraz musimy schować to wszystko z powrotem!

- Skrzynka ma już wiele lat, pewnie właściciele już nie żyją. Nie ma sensu, weźmy te klucze, niech posłużą kolejnym pokoleniom.

- Chcesz sprzedać cudzą miłość?! Oddawaj! – wyszarpała mu klucz z dłoni i gwałtownie odwróciła głowę skrapiając go wodą ze swoich mokrych włosów. – Jesteś okropny!

- Żartowałem – zaśmiał się wesoło. – Ależ masz minę!

Ivva wciąż naburmuszona sięgnęła po skrzyneczkę i już miała schować w niej klucze, gdy Evan chwycił ją za dłoń.

- Poczekaj – wyszeptał, przybliżając się do niej. – Może te klucze powinny po raz kolejny symbolizować miłość? – zaczął całować ją po uchu, a ręką objął w pasie. – Może powinny być symbolem naszej miłości? – Ivva pozwoliła na drobne pieszczoty, po czym odsunęła się z uśmiechem. Zawiesiła klucz na jego szyi, a on zrobił dla niej to samo.

Wszystko przypieczętowali namiętym pocałunkiem.

* * *

Wapienne ściany tunelu były poznaczone wypukłymi żyłami lśniącego niczym złoto minerału. Evan wiedział, że jest to tylko piryt, chociaż nie umniejszało to piękna całej scenerii. Cisza była niemal absolutna, jedynie gdzieś w oddali dało się słyszeć delikatny szum wiatru. Rozsiane dookoła kępki błękitnych porostów spowijały wszystko łagodnym blaskiem. Oboje leżeli na plecach, wpatrując się z złocistą rudę i szepcząc do siebie.

- Puszcza Tirinalsi ciągnie się przez wiele dni podróży i to we wszystkie strony – bąkał Evan, sięgając do swoich wspomnień, a Ivva przytuliła się do jego ramienia. – Są tam krystalicznie czyste rzeki i małe jeziora. Kolorowe grzyby i niezwykle porosty rosną tak gęsto, że miejscami trzeba się między nimi przedzierać. Wszędzie jest pełno życia, zobaczysz. Setki niezwykłych stworzeń, zarówno tych pięknych jak i niebezpiecznych... - westchnął delikatnie. – Ale przy mnie nie musisz się niczego obawiać. Przebędziemy to wszystko i dotrzemy do serca puszczy, tam gdzie znajdują się gorące wyziewy, tam gdzie rośnie uzdrawiający mech... będziesz cała zdrowa, zobaczysz – pocałował ją w czoło. – A gdy już wyzdrowiejesz to co zrobisz jak wrócimy? – spytał, chcąc dać jej kolejne marzenia.

- Jako pierwsze? – wyszeptła mu do ucha. – Kupię cały wór słodczy, a potem upiję się z koleżankami! – mocniej przytuliła się do swojego męża, a on uśmiechnął się rozbawiony. – A potem kupię krasnoludzką płaskorzeźbę i zawieszę ją nad łóżkiem! – tym razem Evan nie zdołał powstrzymać śmiechu. Trwało nieco czasu nim w końcu opanował wesołość.

- Trzeba przyznać, że masz wielkie plany.

- To nie wszystko, nie myśl sobie, kobiece pragnienia są bardziej zawiłe i złożone niż wszystkie tunele Świata Pod!

- W to nie wątpię, Świat Pod poznałem i wydaje mi się, że rozumiem, ale kobiece pragnienia...

- No właśnie – mruknęła, obejmując go nogą. – Potem kupię dwa wory owoców morza i masę grzybowego wina – lekko podciągnęła się i spojrzała mężowi prosto w oczy. – I będę starać się o dziecko oraz uciechy dla męża – szturchnęła go nosem. – Może nawet kupię te pończochy, na które nalegałeś... - zamruczała. – Dla dobra dziecka, oczywiście.

- Coraz bardziej podobają mi się te twoje plany na przyszłość – spojrzał na piękną żyłę pirytu, która wiła się po wapiennej ścianie tunelu.

- A ty, kochanie? – spytała po chwili ciszy. – Co chciałbyś zrobić?

Przez myśl przeszło mu wspomnienie syren, ale z uśmiechem powstrzymał się od komentarza.

- Myślałem o zmianie pracy na mniej niebezpieczną – Ivva uniosła brwi ze zdziwienia. Temat jego pracy był od zawsze tematem tabu. – Odłożyłem masę pieniędzy, a wydaje mi się, że mógłbym zajmować się szkoleniem nowych pokoleń w przetrwaniu w Świecie Pod. Wiesz, tak teoretycznie. Na pewno znalazłbym klientów, w końcu mam mapy.

- Tak się cieszę... - w jej oczach zalśniły drobne łzy. Wiedział ileż to razy się o niego zamartwiała, gdy wyruszał w podróż. – Byłoby wspaniale.

- A potem pouczyłbym się nurkowania. Zawsze chciałem nurkować. To musi być świetna sprawa.

- Ale przecież to niebezpieczne...

- Cicho kobieto, mężczyzna potrzebuje adrenaliny.

- Dobrze, kochanie – mruknęła. – Zgadzam się.

- Nie masz tu nic do gadania.

- Wiem, ale i tak się zgadzam.

- Czas ruszać dalej.

- Mhm, ale jeszcze chwilę...

* * *

Pomiędzy wielkimi grzybodrzewiami tłamsiły się pozwijane grzybowe chaszcze, na których przysiadły wielkie ćmy o pięknych, ciemnoróżowych skrzydłach i długich ogonkach. Z olbrzymich kapeluszy zwisały grube nici, sięgając niemal do ziemi, a wszystko oświetlone było lśnącymi błękitnym blaskiem porostami. Gdzieś jaśniały również grube bulwy, z których wyrastały gładkie, białe pałeczki. Poskręcane korzenie przeplatały się z grzybową florą: jedne były pełne parzących w dotyku włosków, inne srebrzyste i odbijające światło, lecz najpiękniejsze były te, które usiane były cudownymi, granatowymi kwiatami. Wokoło płaśły wielkie jak pięść, białe pszczoły, a po ziemi przemykały kolorowe, śmiertelnie niebezpieczne węże.

Przedarli się przez gęstwinę pachnących miodem, żółtych kapeluszy i ominęli kłębowisko korzeni pokrytych ostrymi, trującymi igłami. Ivva jak oczarowana rozglądała się we wszystkie strony, co rusz zachwycając się pięknem natury. Zatrzymała się przy gęszczu małych, czerwonych grzybków, które falowały na lewo i prawo, niczym w tańcu, a potem przycupnęła przy bulwach o różowych trąbkach, które rozstaczały przyjemną kwiatową woń. Evan nie raz musiał odganiać ją od bardziej niebezpiecznej flory, chociaż nie mógł się przy tym powstrzymać od drobnych uśmiezków.

Po długiej wędrówce drogę zagrodziły im kolczaste grzyby, które ciągnęły się przez wiele sążni. Evan szturchnął Ivvę i wskazał na gęstwinę nici zwisających z zielonego grzybodrzewia. Wspólnie wspięli się na wielki kapelusz, po czym roześmiani zaczęli przeskakiwać z jednego na drugi.

- Jakże tu cudownie – westchnęła elfka i rozejrzała się po majestatycznym horyzoncie sięgającym aż do plejady drobnych strumyków. – Jakże pięknie!

- Patrz tam – wskazał na pole pełne równo rosnących, kolorowych grzybów, pomiędzy którymi kręciły się dziesiątki dziwnych stworków. – Stravidurki zajmują się swoim ogrodem – stworzenia sięgały trzech łokci i miał cztery tłuste nóżki i dwie łapki zakończone haczykami. Ich kuliste łebki były bez oczu, ale miały okrągłą paszczę wypełnioną trójkątnymi zębami. Całe plecy pokrywały im gładkie, czarne pancerzyki, o falistych krawędziach i wykręconym kołnierzu tuż przy głowce.

- Niesamowite – Ivva usiadła skrzyżnie na wielkim, białym kapeluszu i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pracujące stravidurki. – Po prostu piękne!

- Wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z ich godami – Evan klapnął obok niej i również zaczął podziwiać ich ogrodniczą pracę. Chwilę kontemplacji przerwało im agonalne kwilenie wielobarwnego ptaka, który utkwiał w dziwnym, rozdwójonym grzybie. Ptaszyna zapadała się coraz głębiej i głębiej, nawet pomimo usilnych prób oswobodzenia. Uśmiech Ivvy natychmiast zbladł. Evan zaniepokojony hałasem rozejrzał się i kątem oka dostrzegł czającego się w oddali drapieżnika. Była to spora, kotowata bestia o ciemnobrązowej sierści i masywnych łapach zakończonych ostrymi pazurami.

- Musimy iść – wyszeptał. – Tu nie jest bezpiecznie, nie możemy tracić czujności.

Ivva skinęła głową i dała poprowadzić się mężowi. Evan przez jakiś czas kontynuował wędrówkę po rozłożystych kapeluszach grzybodrzewii, jednakże dostrzegłszy parę wielkich, włochatych pajaków postanowił zejść niżej. Niespodziewanie zapachy zmieniły się - wszystko wypełniła ostra, paląca płuća woń. Evan szybko zakrył usta i gestem polecił Ivvie zrobić to samo. Dostrzegli dziesiątki niezwykle, żyłkowatych trąbek, które momentalnie rozpyliły małe, czerwone pyłki. Nagle z gęszczy zerwały się chmary świecących na biało, latających żuczków, które w mig pożarły niebezpieczne zarodniki. Spokojnie odetchnęli dopiero, gdy owadzia uczta dobiegła końca.

Wędrując dalej natrafili na wysoką na dwanaście łokci ścianę. Evan wyciągnął z manatków linę i kliny, po czym zaczął przygotowywać się do wspinaczki. Po niecałych dziesięciu minutach był już na górze. Tam zamarł w bezruchu. Nieopodal przechadzał się wielki ślimak, którego cały łeb pokryty był długimi włóknami. Jego cielsko było różowawe, a skorupa brązowa, przypominająca pochylonego grzyba. Evan odetchnął, gdyż zorientował się, że jest to smarownica - stworzenie grzybożerne. Muszlowiec po chwili zniknął w gęstwinie.

- Możesz wchodzić – rzucił do Ivvy i ta z niemąłą wprawą wdrapała się na górę. Evan zostawił kliny, ale zwinął linę, po czym schował ją do plecaka. – Jesteśmy już w pobliżu, spójrz tam – wskazał na spowite we mgle połacie wielkich korzeni i setek porostów. – Wyziwy – elfka pokiwała głową.

- Patrz tutaj – powiedział Evan po chwili podróży, wskazując na żółto-czerwone płaszczyki przylegające do wielkich, tłustych kapeluszy. – Mątwy grzybowe. Ładne prawda? Tam są jeszcze białyszczki, musisz się przyjrzeć. Są przezroczyste i nie większe niż paznokieć. Na nie trzeba bardzo uważać. Potrafią wejść przez skórę aby dostać się do krwi, bo to pasożyty. Chociaż słyszałem, że da się je wykorzystać w medycynie.

- Niezwykłe – podeszła nieco bliżej aby ujrzeć dziesiątki małych białyszczek, zalegających na zielonym grzybie.

- Chodźmy dalej, kochanie.

- Mhm.

Weszli pomiędzy gęste mgły, a Evan wyciągnął z plecaka lampę oliwną, aby rzucić chociaż trochę światła na okolicę. Obok nich rozległ się huk, gdyż nieopodal strumień gorącego powietrza powalił jakiś stary korzeń. Ivva kurczowo trzymała się ręki męża, a ten uważnie wyglądał wszelkich zagrożeń. Omijali długonogie pająki i plamiaste, szczupłe węże poukrywane w szczelinach popękane go podłoża.

Wreszcie trafili do miejsca gdzie z wielkich dziur wydobywały się wrzące opary, które znacznie utrudniały oddychanie. Evan obrał dość niebezpieczną drogę na styku przepaści i aby dodać odwagi żonie dał jej drobnego całusa.

Nagle potężny strumień gorąca niemal wytrącił go z równowagi. Uratował go włoskowaty korzeń, którego szczęśliwie zdołał się złapać. Jednak przepłacił to wypuszczeniem lampy, która z

trzaskiem rozbiła się o ściany przepaści. Wszystko ponownie skryło się w mroku i mgłę. Od dziecka byli przyzwyczajeni do ciemności więc wyteżyli wzrok i ruszyli dalej, balansując na skraju gorących otchłani. Z wolna całą okolicę zaczęła wypełniać dziwna melodia, być może tkana przez jakieś niezwykle zwierzę. Mgła powoli stawiała się coraz rzadsza, a ścieżka bezpieczniejsza. W końcu przeskoczyli nad małym wyziewem i trafili na rozległą polanę, pełną białych bulw i wylegujących się na nich małych jaszczurek.

- Nareszcie, kochanie – szepnął Evan. - Spójrz

Na ścianie naprzeciwko rósł mlecznobiały mech.

* * *

Wychodząc spomiędzy mglistych oparów trafili do niewielkiego zagajnika osłoniętego ze wszystkich stron potężnymi, niemal sięgającymi sklepienia grzybobrzwami. Podłoże porastały przyjemne w dotyku porosty, które emanowały delikatnym, błękitnym światłem.

- Tutaj się zatrzymamy – stwierdził Evan, ściągając plecak. – Zaparzemy dla ciebie wywar z uzdrawiającego mchu – uśmiechnął się do niej i podszedł do niewielkiego kawałka gołej skały, aby tam rozpalić ogień. Ivva położyła się na plecach i zaczęła wdychać przyjemną, słodką woń rozchodzącą się od zielonych bulw rozsianych po całej polanie. Szary elf naprędce wzniecił małe ognisko i w miedzianym kubku naparzył mchu oraz paru innych ziół.

- Już gotowe, kochanie. To cię uzdrowi. Bądź dobrej myśli.

- Jestem – jej uśmiech był zupełnie inny niż zwykle, zawierał w sobie coś nostalgicznego. – Dziękuję, za wszystko – zaczęła powolutku pić, łyček po łyčku.

W końcu Ivva odłożyła pusty kubek na kępę mocniej jaśniejących porostów i przysunęła się do męża. Ich usta złączyły się w spokojnym pocałunku, który z chwili na chwilę przybierał na napiętności. Jej ręce sięgnęły do rzemieni jego przeszywanicy i zaczęły je rozplatać. Elf z drobnym uśmiechem powiodł rękoma po jej smukłych biodrach i przygryzł jej dolną wargę. Jego skórzana kurta upadła na poszycie polany, a za nią poleciała koszula. Ivva zmierzwiła jego krótkie, granatowe włosy i zaczęła powoli schodzić ustami. Najpierw zahaczyła jego szyję, a następnie powiodła wargami po jego nagiej klatce piersiowej.

- Rozbierz mnie... - jęknęła, pieszcząc pocałunkami jego mięśnie.

Evan silnym ruchem uniósł jej podbródek i chwycił ją za szyję. Spojrzenie jej szarych oczu zrobiło się uległe i rozmarzone. Sięgnął dłońmi do jej przeszywanicy i pewnymi ruchami ściągnął z niej ubranie. Opuszkami palców zaczął muskać jej gładką skórą, raz po raz przejeżdżając po jej drobnych, urokliwych piersiach. Zaciągnął się przyjemną wonią jej włosów i w rytm jej pomrukiwań począł podgryzać jej ucho i pieścić skórę. Jej rozgrzane palce cyklicznie zaciskały się na jego mięśniach, dając wyraz uległości wobec jego siły. Zaczęła delikatnie ocierać się o jego ciało zatracając się w narastającym pożądaniu. Jego ręce nareszcie sięgnęły jej bioder i zaczęły zsuwać skórzane spodnie wraz z bielizną. Ivva wygięła się leciutko i jęknęła przeciągle. Ręka jej męża łapczywie sięgnęła do jej pośladków rozsmakowując się w nich, po czym powoli powędrowała w stronę jej ud. Wilgoć zrosiła jego palce. Ivva westchnęła zatracając się w granatowych oczach swego męża. Przygryzła wargę i zarzuciła kosmyki włosów na rozpalone piersi. Pożądanie rozchodzące się po jej ciele ciągle wzmacniało łaknienie jego dotyku. Przywarła ustami do jego ust, a rękoma zaczęła mocować się z jego spodniami. Jęknęła przeciągle i pozwoliła się popchnąć na lśniące błękitem porosty. Delikatnie odsunęła jego rękę i obróciła się na brzuch. Podciągnęła się na łokciach, aby jego dłonie mogły pościć jej piersi. Zaczęli

kochać się tak jak oboje uwielbiali – ostro i pożądliwie. Z pełnym wdziękiu, błogim uśmiechem spojrzęła za siebie i ponownie spotkali się w pocałunku, który ledwie utrzymali przez wzburzony oddech obojga. Ekstaza wypełniła jej umysł, czemu dała upust w jękach i pomrukiwaniach.

Miłowali się przez długi, długi czas, aż w końcu oboje stracili siły. Wtedy Ivva wtuliła się w ramię swojego ukochanego i szepnęła mu do ucha:

- Ja wiem, że to była bajka...

Evan zamarł zaciskając zęby.

- To prawda...

- Ciii – przyłożyła mu palec do ust. – Ja wiem... i dziękuję... to były najwspanialsze chwile w moim życiu – obdarzyła go delikatnym pocałunkiem. – Kocham, cię. Chcę dla ciebie zaśpiewać, mój miły.

Evan jedynie pokiwał głową. W jego oczach zaczął tlić się smutek, ale prysnął, gdy tylko ujrzał swą nagą żonę, która usiadła na nim okrzakiem i skryła jego dłonie w swoich. Rozpoczęła delikatną, piękną pieśń, która od pierwszej sekundy ujęła jego serce. Jej głos był pełen ciepła i miłości, wzrok przesycony radością, a naga skóra wydawała się lśnić wśród błękitnego blasku. Z trudem powstrzymał wzruszenie. Ivva była w tym momencie w pełni swego naturalnego piękna.

Świat zaczął nabierać barw, a wszystko poza jej śpiewem ucichło. Jego ciało przepełniło niezwykle ukojenie. Porosty rozbłysły intensywnym lśnieniem. Na polanę przyczłapały dziesiątki stravidurków, wleciały barwne motyle oraz błyszczące wieloma kolorami żuki. Cały świat wydawał się oddawać jej hołd. Ivva nie przestawała poić naturę swym anielskim głosem i wtem wszelkie grzyby pochyliły się w jedną stronę - w stronę wyjścia z polany.

Evan poczuł jak wszystko wypełnia łagodna, ale przytłaczająca aura. Ivva zaprzestała śpiewu i zaniepokojona spojrzęła za siebie. Spomiędzy wielkich grzybodrzewi wyłoniła się niezwykła, kobieca istota. Była cała utkana z korzeni, nieregularnie otulona jaśniejącymi na ciemnoniebiesko porostami i wysoka na półtorej osoby. Jej ręce i nogi stanowiły dziesiątki długich splątanych korzeni, a na podłużnej twarzy widniała para pięknych, jasnozielonych oczu. Istota miała niewielkie piersi, z czego jedna była naga, a druga skryta pod gęstymi porostami. Evan od razu zrozumiał - wszystkie stworzenia i grzyby tańczyły właśnie ku jej chwale, gdyż to od niej roztaczała się przenikająca serce moc.

- Śpiewające dziecię – rozległ się przepełniony trzaskami, kobiecy głos. – Doszła mnie twa pieśń – istota przybliżyła się dwoma długimi krokami. Poruszała się niesamowicie, jak gdyby płynęła wśród piękna natury. Ivva zadrżała ze strachu i przytuliła się do swojego męża. – Nie obawiaj się, śpiewające dziecię. Jam jest Tirinalsi, pani tej puszczy.

Korzeniste dłonie opłotły ciało Ivvy i uniosły ją do góry. Evan patrzył na to jak gdyby śnił, z jakiegoś powodu nie czuł ani strachu, ani nawet niepokoju. Przecież to i tak był kres ich wędrówki... jednak...

- O pani! – Evan padł na kolana. – Moja żona jest bardzo chora i jej śpiew niedługo umilknie!

Tirinalsi zbliżyła twarz do ciała Ivvy i nagle całą okolicę wypełniła cudowna moc. Poczuł jak nawet jego ciało odżywa, nabiera sił i aż tryska energią. Korzenista dłoń przemknęła najpierw po brzuchu elfki, potem po jej piersiach, aż w końcu przeczesła jej szare włosy.

- Nie lękaj się o śpiewające dziecię – wyszeptała, trzaskającym głosem. – Na moim dworze będziesz żyć i tkać swoje urokliwe pieśni – władczyni natury odstawiła ją z powrotem na ziemię. - Ponieważ ja Tirinalsi cię wybrałam.

Piękne, wielobarwne motyle sfrunęły z grzybodrzewi i obsiadły Ivę, która zaczęła wpatrywać się w nie jak urzeczona. Evan nie zdołał powstrzymać łez.

- Podążajcie za mną moje dzieci – rzekła pani puszczy i podeszła na skraj polany. – Do swojego nowego domu, w którym będziecie trwać aż do końca swych dni.

Evan otworzył szerzej oczy. Jednak cudowny uśmiech jego żony zmył wszelkie wątpliwości. Podeszedł do Iwy i chwycił jej dłoń.

Odziani jedynie w wielobarwne motyle udali się ku swojej nowej, lepszej przyszłości.

* * *